

Zadowolony biedak odpowiada na ankietę

28 stycznia 2014

Główna strona portalu gazeta.pl w dniu 4 października 2013 przedstawia zdjęcie roześmianej rodziny opatrzone podpisem „Coraz więcej szczęśliwych i bardzo szczęśliwych Polaków – Diagnoza Społeczna 2013”. Ten obrazek nieźle ilustruje funkcjonowanie Diagnozy Społecznej w mediach głównego nurtu. Zebrane tam dane mają zadawać kłam pesymistycznej propagandzie i udowadniać, że mimo błędów i wypaczeń potransformacyjna Polska jest krajem, który rośnie w siłę i w którym ludziom żyje się dostatniej.

Ten optymistyczny aspekt „Diagnozy” jest o tyle łatwy do podkreślania, że to na niego właśnie zwracają uwagę – przynajmniej w komunikatach medialnych – autorzy badania, z profesorem Januszem Czaplińskim na czele. Tymczasem jeśli przyjrzeć się danym, które można znaleźć w „Diagnozie”, a nawet interpretacjom tych danych, jakie znajdujemy w pełnych raportach (a nie w ich medialnych streszczeniach), to obraz społeczeństwa polskiego, jaki się z nich wyłania – a do poprawności metodologicznej badania trudno mieć zastrzeżenia – jest mocno niepokojący.

Nie da się polemizować z faktem, że Polacy jawią się w świetle „Diagnozy” jako społeczeństwo ludzi zadowolonych z życia. 81% rodaków deklaruje, że są szczęśliwi i ten odsetek systematycznie rośnie (odnotowano niemal dwukrotny wzrost w porównaniu z najgorszym pod tym względem rokiem 1993), nawet w sytuacji kryzysu gospodarczego. Jednak ten wynik dotyczy jedynie subiektywnego poczucia satysfakcji z życia, a wyciąganie na ich podstawie wniosków na temat ogólnej sytuacji w Polsce jest głęboko nieuzasadnione.

Przede wszystkim wskaźniki obrazujące sytuację materialną

naszych rodaków dowodzą jednoznacznie, że pod tym względem miewają się oni raczej źle. Po pierwsze, realne (czyli liczone z uwzględnieniem inflacji) dochody gospodarstw domowych w Polsce systematycznie spadają – w ciągu ostatnich dwóch lat o 5% („Diagnoza...”, s. 40[1]). Problemy materialne dają o sobie znać również w wymiarze subiektywnym. Jak czytamy w „Diagnozie”: Najczęściej badane gospodarstwa domowe deklarowały w lutym/marcu 2013 r., że przy aktualnym dochodzie wiązały koniec z końcem z pewną trudnością (36 proc. gospodarstw), prawie 20 proc. gospodarstw radziło sobie z trudnością, a ponad 17 proc. z wielką trudnością (s. 45). Jedynie 26% Polaków radzi sobie pod względem materialnym „łatwo” lub raczej „łatwo”, co oznacza, że $\frac{3}{4}$ ludzi w naszym kraju radzi sobie nie za dobrze.

Powtórzmy to wyraźnie: zdecydowana większość Polaków uważa, że ma problemy finansowe. Jedynym jasnym punktem w tych statystykach jest fakt, że odsetek ludzi, którzy radzą sobie „z wielką trudnością”, nieznacznie spadł (o 2 punkty procentowe). Być może oznacza to, że obszary skrajnej biedy nieco się zmniejszają, ale nie łudźmy się, że zniknęły one całkowicie. Czy można spokojnie przejść obok faktu, iż prawie 30% gospodarstw wiejskich deklaruje, że ich „stałe dochody nie pozwalają na zaspokojenie bieżących potrzeb” (s. 48)? Czy rzeczywiście możemy mówić, że Polska jest krajem dobrobytu materialnego, jeśli ponad 20% gospodarstw domowych nie posiada ciepłej bieżącej wody, a w województwie świętokrzyskim ten odsetek sięga ponad 40%? Wydawać by się mogło, że mamy tu do czynienia z czymś, co w drugiej dekadzie XXI wieku, w regionie znajdującym się w Unii Europejskiej, powinno być uznane za podstawowy dorobek cywilizacyjny, a nie luksus dostępny jedynie dla wybranych.

Warto też zauważyć, że zgromadzone w „Diagnozie” dane jednoznacznie falsyfikują tezę, iż w Polsce mamy do czynienia z „rozbuhanym państwem socjalnym”, utrzymującym przy życiu całe rzesze „nierobów”, co wpędza ich w „wyuczoną bezradność”.

W rzeczywistości jakkolwiek pomoc zewnętrzną otrzymuje jedynie 11% badanych (s. 52). Warto zwrócić uwagę, że mówimy tu o jakiegokolwiek pomocy – niestety „Diagnoza” nie dostarcza informacji na temat tego, w jakim stopniu ta pomoc zaspokaja potrzeby materialne badanych. Wiedząc wszakże, ile w Polsce wynosi choćby zasiłek dla osób będących opiekunami osób niepełnosprawnych, możemy się domyślać, że niewielu znajdziemy ludzi żyjących z pomocy społecznej. W każdym razie, biorąc pod uwagę skalę deprivacji materialnej, jaką ujawnia badanie, zasięg działania pomocy społecznej w Polsce okazuje się nad wyraz skromny.

Należy zaznaczyć, że autorzy „Diagnozy” te wszystkie dane, świadczące o trudnej sytuacji bytowej mieszkańców naszego kraju, referują nadzwyczaj rzetelnie. Zastrzeżenia może jedynie budzić fakt, iż bardzo często, gdy podaje się informacje wskazujące na niekorzystną sytuację rodaków, są one uzupełniane komentarzami, które mają świadczyć o tym, że co prawda nie jest najlepiej, ale sytuacja się poprawia.

Weźmy na przykład fragment mówiący, że wielu dorosłych Polaków zmuszonych jest rezygnować z wyjazdów wypoczynkowych ze względu na trudną sytuację finansową – w 2013 roku wystąpienie takiej sytuacji zasygnalizowało 32% respondentów. Zaraz potem w raporcie „Diagnozy” czytamy: W ostatnich dwóch latach nastąpił natomiast znaczący spadek konieczności rezygnacji ze wyjazdów finansowych z wyjazdów dorosłych (s. 115). Dowiadujemy się następnie, że ów spadek wyniósł... 3 punkty procentowe – z 35% do 32%. Czy rzeczywiście taka zmiana zasługuje na miano „znaczącego spadku”? Czy nie jest to przypadkiem próba zaklinania rzeczywistości?

Takie manewry dyskursywne znajdujemy w „Diagnozie” często – wystarczy, że jakaś zła statystyka poprawi się w ujęciu dwuletnim o choćby dwa punkty procentowe, to już mówi się o tym, że jest znacznie lepiej. Czy nie uczciwiej byłoby jednak skwitować taką obserwację komentarzem, że pacjent co prawda nadal miewa się nie najlepiej, ale jednak nastąpiła delikatna

poprawa?

Niezwykle doniosłą i bolesną konsekwencją materialnej deprivacji Polaków jest katastrofalna sytuacja demograficzna naszego kraju. Przypomnijmy – przyrost naturalny w 2013 roku niemal na pewno będzie ujemny, zaś współczynnik dzietności w Polsce w roku 2012 wyniósł zaledwie 1,3, wypadając zdecydowanie poniżej tego, który gwarantuje zastępowalność pokoleń. Mówiąc krótko – nawet jeśli weźmiemy w nawias fenomen masowej emigracji, widzimy, że Polska zaczyna się wyludniać i jeśli obecne tendencje się utrzymają, to proces ten postępować będzie w zastraszającym tempie.

Wielką wartością „Diagnozy Społecznej” jest to, że zawiera ona szczegółowe badania nad „rezerwą prokreacyjną”, czyli ludźmi, którzy mogliby mieć dzieci (czy to pierwsze, czy też kolejne), a jednak z jakichś względów się na to nie decydują. Dzięki temu badaniu możemy poznać rzeczywiste motywacje tych osób, a nie zadowalać się ideologicznymi projekcjami na ich temat. Okazuje się bowiem, że powodem, dla którego ludzie w naszym kraju nie mają dzieci, nie są żadne postępy „cywilizacji śmierci” (jak lubią to sobie roić przedstawiciele prawicy kulturowej), lecz właśnie problemy materialne oraz, co należy dodać, bezpłodność. Ponad 58% osób należących do owej „rezerwy prokreacyjnej” jako powód nieposiadania dziecka wskazuje „trudne warunki bytowe”, 36% „niepewną przyszłość”, a 30% „koszty wychowania”. Niecałe 30% wskazuje jeszcze „trudność godzenia pracy z rodzicielstwem”, „za niski zasiłek” oraz brak dostępu do żłobków i przedszkoli (s. 163). Widać zatem wyraźnie, że to nie żadne domniemane mroczne wpływy „lewactwa”, rzekomo demoralizującego polską rodzinę, a zwykłe problemy bytowe sprawiają, iż sytuacja demograficzna naszego kraju przedstawia się tak tragicznie.

Z drugiej jednak strony te dane powinny wziąć sobie również do serca środowiska lewicowe, które za fatalną demografię obwiniają przede wszystkim brak wspierającej młodych rodziców infrastruktury i rozwiązań prawnych. Rzeczywiście, jest to

istotna kwestia, jednak, jak się okazuje, to nie ona ma fundamentalne znaczenie, lecz zwykła, nie bójmy się użyć tego słowa, bieda. Oznacza to, że polityki demograficznej nie można prowadzić w izolacji od polityki ekonomicznej jako takiej – nie można liczyć na to, że samo zbudowanie żłobków i przedszkoli czy objęcie pracowników na umowach śmieciowych urlopami macierzyńskimi (jakkolwiek są to działania niezwykle ważne) rozwiąże ów problem. Zapaści demograficznej nie powstrzymamy bez takiej zmiany polityki, która umożliwi radykalną poprawę warunków życia społeczeństwa.

Pesymistyczna ocena warunków życia rzutuje również – i to bardzo wyraźnie – na w gruncie rzeczy negatywną ocenę całokształtu transformacji, jaka dokonała się w Polsce po 1989 roku. „Ogólna ocena reform rozpoczętych w 1989 r. jest dla badanych zadaniem trudnym. Tylko nieco ponad połowa badanych (55,5 proc.) może się na nią zdecydować – 44,4 proc. znalazła się w kategorii „trudno powiedzieć” (s. 286). Z drugiej jednak strony: Wśród badanych, którzy ocenili reformy po 1989 r. jako udane albo nieudane, pogląd, że reformy się nie udały (53,9 proc.) występuje prawie 4 razy częściej niż pogląd, że się udały (11,6 proc.); w stosunku do 2011 r. oceny te się pogorszyły; dwa lata wcześniej o sukcesie reform mówiło 14,0 proc., a o ich niepowodzeniu 37,2 proc. badanych” (s. 286).

Takie wyniki nie powinny zaskakiwać. Jak można spodziewać się, że Polacy będą zadowoleni z przemian, skoro ich warunki życiowe pozostawiają tak wiele do życzenia? A jednak, nawet jeśli weźmiemy ten fakt pod uwagę, wskaźnik akceptacji dla reform pozostaje szokująco niski – 11% to o wiele mniej niż odsetek Polaków, którzy „radzą sobie w życiu z łatwością”. Oznacza to, że nawet ludzie zadowoleni ze swojej sytuacji materialnej nie zawsze potrafią zdecydować się na jednoznacznie pozytywną ocenę reform. I dzieje się tak mimo że przygniatająca większość mediów głównego nurtu od lat uprawia u nas propagandę sukcesu, obwieszczając, że polska droga do demokracji może być przykładem dla niemal całego świata.

Rzutuje to oczywiście na ogólną ocenę sytuacji w kraju, która, jak pokazuje „Diagnoza”, jest w Polsce bardzo niska – odsetek Polaków „zadowolonych” i „bardzo zadowolonych” z sytuacji w kraju wynosi niecałe 10% (choć i tak systematycznie wzrasta).

Krytyczna ocena transformacji ma też swój niepokojący aspekt. Związany jest z nią bowiem dość niski poziom aprobaty dla demokracji jako systemu sprawowania rządów. Jedynie 25,5 proc. zbiorowości wybrało pogląd, że „demokracja ma przewagę nad wszelkimi innymi formami rządów”, natomiast 13,6% uznało, że „niekiedy rządy niedemokratyczne mogą być lepsze niż rządy demokratyczne”; dla 16,1% „nie ma znaczenia, czy rząd jest demokratyczny czy niedemokratyczny”, zaś 5,8% uważa, że „demokracja jest złą formą rządu” (s. 288). Można z tego wysnuć wniosek, że w Polsce istnieje potencjał do kontestacji obecnego układu społeczno-politycznego, przy czym ta kontestacja może, co niepokojące, przybierać formę poparcia dla jakiejś postaci autorytaryzmu. Oczywiście w chwili obecnej nie ma w naszym kraju formacji politycznej dysponującej realną siłą, która jednocześnie głosiłaby taki przekaz, jednak tendencje są tu na tyle wyraźne, że pozwalają się martwić na zapas.

Powróćmy teraz do naszych wyjściowych danych, wskazujących, że 81% Polaków jest zadowolonych ze swojego życia. Jeśli skonstrastujemy te deklaracje z liczbami, które przedstawiłem, rodzi się pytanie: czy można być człowiekiem szczęśliwym i zadowolonym z życia, jeśli ma się mniejsze lub większe problemy finansowe, problem z dostępem do podstawowych zdobyczy cywilizacyjnych, brakuje środków na utrzymanie dziecka oraz jeśli żyje się w kraju, którego transformację ustrojową ocenia się negatywnie? Polacy są dowodem na to, że można. Można być biednym i żyć w źle rządzonym kraju – a jednocześnie promieniować szczęściem.

Wyjaśnienie tej zagadki kryje się w określeniu czynników mających wpływ na taki stan rzeczy. Dominujące aspekty zadowolenia z życia mają charakter ściśle indywidualno-

rodzinny. Otóż niemal 85% Polaków jest zadowolonych z dzieci, 78% z małżeństwa, 72% ze stosunków w rodzinie, a 51% z życia seksualnego (s. 177). Większość naszych rodaków jest też zadowolona ze swojego miejsca zamieszkania – taką postawę wyraża 55% osób.

Drobiazgowa analiza przeprowadzona przez prof. Czapińskiego wykazuje ponadto, że czynniki wewnętrzne, czyli psychiczne, są o wiele bardziej istotne w determinowaniu poziomu dobrostanu niż czynniki zewnętrzne (s. 192).

Mamy zatem odpowiedź na naszą zagadkę. Okazuje się, że Polacy są zadowoleni z życia, mimo że raczej są i czują się biedni oraz mieszkają w biednym i źle rządzonym kraju, a to z tego powodu, że mogą pochwalić się dobrą strukturą psychiczną oraz mają satysfakcjonujące relacje rodzinne. Oczywiście należy cieszyć się z tego, że żyjemy raczej w społeczeństwie ludzi zadowolonych niż w społeczeństwie frustratów, jednak z drugiej strony patrząc, ten dysonans pomiędzy osobistą satysfakcją a oceną warunków ekonomiczno-politycznych powinien niepokoić.

Wskazuje on bowiem na zjawisko, które można by nazwać „prywatyzacją szczęścia”. Ludzie w Polsce są zadowoleni, ale ich szczęście ma charakter ściśle prywatny i jest w dużej mierze niezależne od tego, jak się rzeczy mają w kraju, w którym mieszkają. Wskazuje to, że mamy do czynienia z odłączeniem się Polaków od szerszej społeczności. Dowodem tego odłączenia jest chociażby w dalszym ciągu bardzo niski poziom uczestnictwa Polaków w jakichkolwiek organizacjach społecznych: „w Polsce w 2013 r. członkami „jakichś organizacji, stowarzyszeń, partii, komitetów, rad, grup religijnych, związków lub kół” było 13,7 proc. badanych” (s. 289).

Ponad 70 proc. Polaków uważa również, że to, czy miniony rok był udany, zależy od nich samych. Z psychologicznego punktu widzenia taki „autodeterministyczny” światopogląd jest uważany zazwyczaj za korzystny – stanowi bowiem barierę dla fatalizmu

wywołującego depresję. W sensie społecznym jest on jednak kolejnym dowodem na to, że Polacy jako naród wybrali opcję „prywatyzacji szczęścia”.

Ten fenomen zauważają także autorzy „Diagnozy”. Piszą tak: „Polacy opanowali nieźle sztukę gry z państwem i w związku z tym widzą coraz słabszy związek między tym, co robi państwo (władze), a tym, jak wygląda ich własne życie. Zaradność Polaków umożliwia im poprawę własnego bytu bez oglądania się na innych i niezależnie od stanu wspólnoty. Ilustracją pogłębiającego się rozvodu obywateli ze swoim państwem jest zestawienie oceny sytuacji w kraju z odsetkiem respondentów żyjących w gospodarstwach domowych, w których stałe dochody nie wystarczają na zaspokojenie bieżących potrzeb [...]. Mimo systematycznej poprawy indywidualnego bytu (niemal trzykrotny spadek ubogich gospodarstw od 1992 r.) pozostajemy niezadowoleni z sytuacji w kraju (konsekwentnie od początku transformacji jest to najniższy wskaźnik satysfakcji w zbiorze 16 różnych aspektów życia [...])” (s. 386).

Nasuwa się tu zatem fundamentalne pytanie – czy owa sytuacja „rozvodu” z własnym państwem i społeczeństwem, która być może stanowi najważniejszy wniosek z „Diagnozy”, jest rzeczywiście czymś, co uzasadnia triumfalistyczny ton medialnych podsumowań i prezentacji tego badania. Wydaje się raczej, że jest to poważny powód do niepokoju. Trudno bowiem spodziewać się, aby sytuacja naszego państwa uległa poprawie, jeśli życie rodaków i ogólny rozwój sytuacji w kraju będą w dalszym ciągu światami równoległymi, połączonymi ze sobą tylko przypadkowymi więzami. „Prywatyzacja szczęścia” prowadzi – jak się wydaje – do braku jakiegokolwiek zaangażowania obywatelskiego w los szerszej wspólnoty, czy to na szczeblu krajowym, czy lokalnym. W rezultacie sfera publiczna jest miejscem, w którym zwykły Polak jest po prostu nieobecny i decyzje są tam podejmowane obok niego.

„Diagnoza Społeczna” – parafrazując Stendhala – to zwierciadło przechadzające się po gościńcu. To odbija lazur nieba, to

błoto przydrożnej kałuży. Pokazuje stan naszego społeczeństwa, jego jasne i ciemne strony. I trudno mieć do autorów tego opracowania pretensje, że pokazuje to, co pokazuje. Obraz medialny tego badania, który współtworzą jego autorzy, może i powinien jednak być przedmiotem krytyki.

Autor: dr Krzysztof Pośłajko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

PRZYPIS

[1] Wszystkie cytaty i przypisy odnoszą się do pełnego raportu „Diagnozy Społecznej”: J. Czapiński, Diagnoza Społeczna 2013, Warunki i Jakość Życia Polaków – raport [Special issue], Contemporary Economics 2013, 7, 13–15, DOI: 10.5709/ce.1897–9254.94.